

<http://jacek.kwasniewski.eu.org>

Jacek Kwaśniewski

Jak zmontowałem filmy z wakacji 2014 (2)

z wnuczętami w roli głównej

- Wstęp
- Mój nowy sprzęt. Mikrofon zewnętrzny
- Jak montowałem oba filmy. Uwaga wstępna
- Film z lipca
- Film z sierpnia

Tekst liczy sześć stron

2015

Jak zmontowałem dwa filmy z wakacji 2014 (2) z wnuczętami w roli głównej

| | |
|--|---|
| Wstęp..... | 1 |
| Mój nowy sprzęt. Mikrofon zewnętrzny | 1 |
| Jak montowałem oba filmy. Uwaga wstępna..... | 2 |
| Film z lipca..... | 3 |
| Film z sierpnia..... | 5 |

Wstęp

Chcę opisać, jak zmontowałem dwa wakacyjne filmy z roku 2014 z moimi wnuczętami. Są dwa, bo najpierw w lipcu spędziliśmy dwa tygodnie z trójką maluchów jednego syna a w sierpniu dziesięć dni z dwójką dzieci naszego drugiego syna. Oba pobyty były w tym samym ośrodku nad jeziorem Piłakno na Mazurach.

Tekst jest znacznie krótszy od poprzedniego, który poświęciłem montażowi wakacyjnego filmu z roku 2013 ([link](#)). W kilku miejscach odwołam się do tamtego tekstu, który bardziej szczegółowo omawia kilka spraw.

Mój nowy sprzęt. Mikrofon zewnętrzny

Co do mojego sprzętu, nastąpiła jedna, ale istotna zmiana. W czerwcu 2014 roku kupiłem zewnętrzny mikrofon Rode Stereo Videomic Pro. Cena 840 złotych plus 110 złotych na futrzaka, który po założeniu na mikrofon wygasza świst wiatru. Ta ostatnia zabawka dość kosztowna, jak na kawałek materiału z długimi włosami, ale bardzo się przydała przy wietrznej pogodzie. Odgłos dudnienia zniknął tak dokładnie, że już nie pamiętam, jak brzmiał. Zdecydowałem się na ten mikrofon w dużym stopniu po obejrzeniu na YouTube filmu Darka Kraśnickiego ([link](#)). Są mikrofony tańsze i nieco mniejsze, ale nie chciałem ryzykować. Rode to znana marka a Darek zaprezentował ten model w bardzo przekonujący sposób.

Powiem od razu, że gorąco polecam korzystanie z mikrofonu zewnętrznego. Bardzo zmienił moje filmowanie. Pierwszy raz użyłem go na przyjęciu urodzinowym, które potraktowałem jako test. Umówiłem się ze sprzedawcą (bardzo dobry sklep [Supersound](#)), że oddam mikrofon, jeśli nie będę z niego zadowolony. Urodziny zawsze były trudne dźwiękowo. Mikrofon wewnętrzny, wbudowany w kamerę, zbiera równo i wszystko dookoła, przez co nie chwyta czasem tej osoby, której głos chcę nagrać. Lub chwyta, ale za słabo, bo za bardzo słychać rozmowy toczone obok i z tyłu. Jak to na przyjęciu.

Gdy przesłuchałem surowy materiał z urodzin, byłem więcej niż zadowolony. „Uporządkowany” to było pierwsze słowo, jakie mi się nasunęło, by opisać dźwięk z przyjęcia. Po pierwsze, zniknął ogólny gwar i szum. W większości słyszałem konkretne i wyraźne głosy pojedynczych osób. Rode zbiera dźwięk z przodu. Z boku o wiele słabiej. Z tyłu prawie wcale. Po drugie, jakość dźwięku jest nieporównywalna. Dźwięk jest czystszy, bardziej dynamiczny. Porównując z mikrofonem wewnętrznym, tamten dźwięk jest płaski, kłuchowaty.

Filmowanie wakacji z maluchami, gdy mam mikrofon zewnętrzny, istotnie wpłynęło na treść filmu. Mogę nagrywać o wiele więcej rozmów w trudnych warunkach dźwiękowych. Oto trzy przykłady. Pierwszy: gromada dzieci bawi się w wodzie w wydzielonym dla nich, płytkim kawałku jeziora. Woda chlupie, dzieci krzyczą. Ustawiam się w odległości trzech – czterech metrów od moich maluchów. Ich rozmowa jest wyraźnie słyszalna. Ogólny hałas wokół jest tylko wyciszonym tłem. Mogę ich rozmowę wstawić do filmu. Z mikrofonem wewnętrznym byłoby to niemożliwe. Przykład drugi: ustawiam kamerę z mikrofonem na pomoście ogradzającym w jeziorze pływalnię dla dorosłych i filmuję wnuczka oraz siebie jak skaczemy po przeciwległej stronie tego pomostu do głębokiej wody i płyniemy do kamery. Odległość 10-15 metrów. Naszą rozmowę słyszać idealnie. Trochę niesie woda i nie ma gwaru, ale jakość zbierania dźwięku z takiej odległości zachwyca. Przykład trzeci: filmuję posiłek w jadalni ośrodka. Kamera na statywie skierowana na nasz stół. Z tyłu cała jadalnia i kilkadziesiąt osób. Dźwięk z naszego stołu był tak dobry, że dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że nie słyszę tego, co się działo z tyłu. Mikrofon to skutecznie „wyciął”.

Mój mikrofon jest wyposażony w filtr górnoprzepustowy (high pass filter, HPF). Jeśli go włączę, zostaje ucięty a przynajmniej znacznie zredukowany szum o niskiej częstotliwości, na przykład odgłos pracującej lodówki, klimatyzacji, odległego szumu ulicy. Z lodówką sprawdzałem i zdaje egzamin. Mikrofon ma także regulację siły dźwięku, który będzie przekazywany do kamery (signal output level control). Są trzy poziomy tej regulacji: 1/ normalny, 2/ zmniejszony o 10 decybeli (dB), gdy nagrywamy coś bardzo głośnego i chcemy uniknąć przesterowania (buczenie), 3/ zwiększony o 20 decybeli (dB), gdy dźwięk jest słaby (cicha mowa lub większa odległość kamery od mówiącego).

Zalety mikrofonu zewnętrznego są okupione mniejszą poręcznością zestawu: kamera + mikrofon. Bez mikrofonu kamera wisiała mi swobodnie na piersiach na pasku lub była schowana w małym futerale naramiennym. Zestawu z mikrofonem nie można nosić na pasku na piersi. Jest za duży a stopka łącząca kamerę z mikrofonem może się szybko złamać przy swobodnym dyndaniu całego zestawu. Rozwiązaniem jest trzymanie zestawu w pozycji leżącej, w większej, klasycznej torbie fotograficznej.

Drugą sprawą jest konieczność pamiętania, by mikrofon włączyć, gdy zaczynamy filmowanie. Brzmi to głupio, ale ileś razy o tym zapomniałem i albo musiałem potem ujęcie wyrzucić, albo ratować innym podkładem dźwiękowym. Co do filtra HPF, jego włączanie i wyłączanie powinno być intuicyjne i odruchowe, tak samo, jak zmiana biegów w samochodzie. U mnie nie jest, bo za mało filmuję. Podobnie jak regulacją siły dźwięku. I sprawa ostatnia. Też banalna, ale trzeba o tym pamiętać. Jakość dźwięku z mikrofonu zewnętrznego jest tak dobra, że w końcu kilka razy zapomniałem, że filmowanie z dalszej odległości z wykorzystaniem zoomu nie powoduje „zoomowania” dźwięku. W efekcie dźwięk był marny.

Jak montowałem oba filmy. Uwaga wstępna

Oba filmy, ten z lipca i ten z sierpnia są bardzo odmienne. W tym z lipca jest dużo akcji, ten sierpniowy to w zasadzie tokująca niemal bez przerwy Maja. W obu przypadkach, po pierwszym obejrzeniu surowego materiału, załamałem jak zwykle ręce. I w obu przypadkach udało mi się w końcu zmontować coś w miarę fajnego. Różnica obu filmów po części wynika z różnej pogody i liczebności towarzystwa. W lipcu pogoda była afrykańska, kapaliśmy się prawie codziennie. Trójka wnucząt jest ze sobą bardzo zżyta, różnica wieku nieduża. Bawiły się ze sobą i z innymi maluchami, to w wodzie, to na placu zabaw. W sierpniu pogoda siadła. Nie padało, ale kapaliśmy się z Mają tylko dwa razy. Siostra czteroletniej Mai jest od niej przeszło cztery razy starsza, więc nie mogło być mowy o wielu wspólnych zabawach. A

innych maluchów nie było. Znalazły się dopiero dwa dni przed wyjazdem. Byłem więc głównym towarzyszem zabaw i widać to na filmie. Ciągłe ze sobą rozmawiamy, razem się bawimy. Gdy wreszcie Maja odkryła rówieśnice, kręciłem ich zabawy ile się dało, żeby jakoś zrównoważyć tamte zabawy z dziadkiem.

Poza tym, trzy zajęte sobą i innymi rówieśnikami maluchy w lipcu nie wołały bez przerwy, abym się nimi zajmował. Byłem obok, ale miałem czas na filmowanie. Maja nie miała towarzystwa, więc byłem stałym partnerem zabaw. To ograniczało możliwości kręcenia. W lipcu nakręciłem cztery i pół godzin materiału, w sierpniu dwie i pół. Skutkowało to znacznie większą liczbą scen nakręconych w lipcu (47) niż w sierpniu (21). Przypominam, że przez scenę rozumiem grupę jednorodnych tematycznie ujęć nakręconych na jednej sesji zdjęciowej. Może to być posiłek na stołówce, każdy pobyt na plaży, zabawa lalkami, msza, wycieczka do Mrągowa, wizyta u pszczelarza itd. Większa liczba scen to większa możliwość wyboru, choć i dłuższy czas montażu. Film z lipca montowałem półtora miesiąca, dzień w dzień po kilka godzin. Film z sierpnia zajął mi niecały miesiąc pracy i to nie każdego dnia.

Film z lipca

Wpierw, we wrześniu 2014 zmontowałem film z lipca. Ten z sierpnia czekał do stycznia 2015. Technika montowania była w obu filmach taka sama. Wpierw spisałem wszystkie ujęcia (w lipcu było ich 256, w sierpniu – 189) notując numer każdego ujęcia, generowany przez kamerę, czas ujęcia i krótki opis, co na nim jest. Plus dwie puste kolumny na uwagi. Więcej szczegółów, jak robię taki spis, znajdzie czytelnik w poprzednim tekście ([link](#)). Spisywanie ujęć to zarazem pierwsza selekcja. Odrzucam ewidentne gnioty: wyraźnie złe duple, ujęcia bez dźwięku (zapomniałem włączyć mikrofon), źle wycelowane najazdy (nie trafiają w to, w co miały trafić), rozedrgana kamera itd. Następnie, podzieliłem ujęcia na sceny. Jest to bardzo przydatne, bo daje bardziej syntetyczny obraz tego, co nakręciłem. Zapoznając się z nakręconym materiałem, cały czas zastanawiałem się równocześnie, jak go uporządkować w ciekawą całość i skrócić do maksimum piętnastu, siedemnastu minut. W przypadku filmu z lipca na żaden sensowny pomysł nie wpadłem. Nie licząc takich oczywistości, że trzeba pokazać miejsce akcji, czyli ośrodek, i kilka rzeczywiście ciekawych scenek.

Brak pomysłu na film z lipca oznaczał, że obrabiałem wszystko po kolei. Brałem na warsztat scena po scenie. Myślałem nie o tym, jak ma wyglądać gotowy film, ale jak najlepiej opowiedzieć każdą kolejną scenę. Sprawę zmontowania całości zostawiłem na potem. Pracując nad kolejnymi scenami oceniałem także, czy dana scena nie jest przypadkiem tak nieciekawa, że nie warto jej w ogóle obrabiać. W kilku przypadkach tak rzeczywiście zrobiłem.

Trudno ogólnie powiedzieć, co oznacza „dobra scena” i „dobrze opowiedzieć scenę”. W pierwszej fazie montażu staram się jak najmniej oceniać sceny pod kątem, czy są ciekawe, czy nie. Za wyjątkiem zupełnych gniotów, które wyrzucam, ale ograniczam się z tym do minimum. Chcę zachować jak najwięcej nakręconych scen, bo chcę mieć w skończonym już filmie jak największą różnorodność. Wakacje to mnóstwo mini historyjek i im więcej ich zmieszczę w rozsądnym czasie ostatecznej wersji, tym lepiej film opisze co się działo. Poza tym większa różnorodność to mniejsze ryzyko z nudzenia widza. Nawet jeśli scena nie wydaje się specjalnie ciekawa, może się przydać jako krótka wstawka między dwoma innymi.

Można by przyjąć inne strategie montażu. Na przykład, osobno zrobić film o zabawach, których istotą jest ruch: zabawy w basenie, na przyrządach na placu zabaw, czy gonitwy, a osobno opowiedzieć zabawy bardziej statyczne, których istotą są rozmowy: o lalkach, o kocie itd. Patrząc na niemal pięć godzin materiału wyjściowego taki pomysł przemknął mi przez

głowę. Ale z niego zrezygnowałem. Chciałem mieć syntetyczny obraz wakacji, gdzie sceny dynamiczne przeplatają się z kadrami bardziej statycznymi. Jeszcze inna strategia to wybrać kilka dłuższych scen kluczowych a resztę wakacji opowiedzieć w serii szybko lub bardzo szybko następujących po sobie migawek. To może być ciekawsze dla widza spoza rodziny, ale moje filmy robię właśnie z myślą o rodzinie i „ku pamięci”. Celuję nimi w przyszłość, aby za pięć, dziesięć i dwadzieścia lat ich bohaterowie mogli w miarę dokładnie zobaczyć, jak się zachowywali, jak mówili, jak się do siebie wzajemnie odnosili. Żeby mogli wziąć na przykład kolejne filmy ze swoich urodzin, gdy kończyli cztery lata, dziesięć lat i piętnaście lat. Albo jak się bawili na wakacjach, gdy byli przedszkolakami, uczniami trzeciej klasy a potem szóstej. Słowem, nie jest moją intencją zainteresowanie moimi filmami osób postronnych. Co jednak nie oznacza, że nie staram się ich poprawnie zmontować.

Strategia zachowania jak największej liczby nakręconych scen wiąże się z koniecznością ich dużego skracania. Co, nawiasem mówiąc, zmusza mnie do ciągłego szlifowania warsztatu montażysty. Skracanie nie jest oczywiście mechaniczne. Choć robię tego typu przymiarki. Na początku pracy montażowej każdą surową scenę oceniam na oko, o ile da się skrócić. Następnie zliczam, ile by to wyszło razem. Daje to pierwsze, bardzo wstępne wyobrażenie na temat długości gotowego filmu. Zawsze wychodzi za dużo, ale nawet taka zgrubna informacja, „o ile jest za dużo”, jest pożytecznym sygnałem, jak bardzo będę się musiał napocić, by dojść do czasu, który uważam za maksymalny.

Pierwsze skracanie każdej kolejnej sceny to głównie praca nad wyłuskaniem z nakręconego materiału jakiejś intrygi, fabuły. „Wyłuskiwanie” to dobre słowo na określenie istoty pracy nad sceną. Idzie nie o mechaniczne skrócenie, ale wydobywanie z niej tego, co może uzasadnić pozostawienie jej w gotowym filmie. To coś może być krótką informacją, gdzie byliśmy na wycieczce, może to być migawka z obiadu, wspólne jedzenie lodów, rozmowa Szymka z moją żoną na temat zestrzelenia malezyjskiego samolotu przez prorosyjskich terrorystów, dyskusja czy tego kotka można głaskać, kąpiel w basenie dla maluchów. I tak dalej.

Oto przykład. Jest w lipcowym materiale scena na sześć długich ujęć, trwających łącznie ponad sześć minut, gdy trójka rodzeństwa bawi się w autospiry. Autospiry - jeśli patrzy na nie dorosły - to dziecięce buciki a w nich małe zwierzątka-zabawki. Dla maluchów są to samochody, którymi te zwierzątka kierują, rozgrywają wyścigi, parkują, spotykają się, rozmawiają, mają problemy, dramaty. Obejrzenie surowej sceny nie rokowało dobrze. Nic specjalnego się nie działo. Ot, takie dziecięce gadanie. Ale kiedy zacząłem się przymierzać do skracania ujęcia po ujęciu, dostrzegłem element dramatyczny. Danusia, najmłodsze z rodzeństwa, trzymające w buciku małego, białego misia powiedziała nagle płaczliwie, że „jego (czyli misia) mama umarła”. A po chwili dodała, że tata też umarł. Na co Szymek krzyknął, że „to nasza wina, bo nie zdążyliśmy na czas”. Wywiązała się rozmowa na ten temat i Łucja, zwracając się do Danusi, zaproponowała w końcu, że „przywieziemy ci nowe rodzice, ale to nie będą misie, tylko smoki. Może być?”. Danusia się zgodziła i śmierć rodziców białego misia znalazła jakieś rozwiązanie w postaci rodziny zastępczej - małych, pluszowych smoków rozdawanych dzieciom w McDonald's. Maluchy miały ich kilka. Dostrzegłem ten fabularny wątek dopiero, gdy zabrałem się za skracanie kolejnych ujęć. Mając taką ideę przewodnią sceny, skracanie poszło dość łatwo. Z sześciu i pół minut surowego materiału zostały w pierwszej wersji osiemdziesiąt dwie sekundy. W ostatecznej szóstej lub siódmej wersji scena ze śmiercią rodziców misia liczyła już tylko sześćdziesiąt sekund.

Pierwszy skrót filmu z lipca miał czterdzieści trzy minuty. To był satysfakcjonujący wynik, jak na pierwsze cięcie. Pamiętajmy, że materiał wyjściowy liczył dwieście siedemdziesiąt minut. Z czterdziestu siedmiu scen, które wyróżniłem w surowym materiale, wyciąłem tylko cztery. W ostatecznej wersji zostały trzydzieści trzy. Dalsze skracanie było, jak to nazywam,

ciulaniami sekund. Kolejne wersje liczyły 41, 34, 30, 22 i w końcu 21,5 minuty. Tę ostatnią wersję uzupełniłem napisami i muzyką. Zmieniałem też kolejność scen. Zapisalem siedem kolejnych wariantów wersji 21,5 minutowej. W sumie zatem, wersja końcowa była trzynastą wersją, licząc od materiału wyjściowego. Jest w niej dziewięć fragmentów muzycznych. W ośmiu scenach wzmocniłem cyfrowo dźwięk oryginalny.

Dygresja – muzyka

Muzyka ilustruje, dynamizuje, czasem żartobliwie komentuje, a także wypełnia pustkę. Śpiew wiernych w wiejskim kościółku na mszy zastąpiłem nieco przyciszonym walcem wiedeńskim. Scena dzięki temu zabiegowi trochę się odrealniła, ale nie tylko. Przeciągający ostatnie sylaby śpiew wiejskich babć zanudza widza już po kilku sekundach. Wiedeńskie walce wciągają go zaś do zabawy, do wirowania i naprzemiennego wznoszenia i opadania. A Pan Bóg z pewnością woli, by patrzący na mszę uśmiechał się niż ziewał. Z kolei Maję karmiącą łabędzie skomentowałem kilkoma sekundami Jeziora łabędziego. Wyraźnie dumnego ze swoich pływackich wyczynów Szymka podkreśliłem słynnym zwycięskim motywem z Valkirii Ryszarda Wagnera. Nieśpieszną scenę na placu zabaw przyspieszyłem fragmentem dynamicznego utworu *Pretty Woman* Roya Orbisona. Zabawę dziewcząt z kotkiem i zbieranie owoców jarzębiny uzupełniłem cicho płynącym w tle, neutralnym utworem Arnolda Schönberga *Verklarte Nacht*. Śpiące w łóżeczkach maluchy wyciskały rodzinie łzy dzięki kołysance *Śpij lalczko*. Trochę nieporadną grę w piłkę nożną żartobliwie komentował pompacyjny hymn którejś z edycji futbolowych mistrzostw świata. Pomysły przychodziły, gdy przeglądałem biblioteki muzyczne mając w pamięci sceny, które chcę zilustrować. Przy wyborze utworu rzadko decyduję na piosenkę. A jeśli już, to tylko wtedy, gdy dźwięk oryginalny jest zupełnie wyłączony. Gdy jednak odgrywa pewną rolę, zwłaszcza, gdy jest to rozmowa, słowa i melodia w tle rozpraszają.

Film z sierpnia

W przypadku filmu z sierpnia, materiał wyjściowy wydawał mi się zdecydowanie gorszy niż ten z lipca. Po prostu działało się w nim o wiele mniej. Mniej ruchu, mniej zabaw maluchów. Materiał był prawie dwa razy krótszy. Naliczyłem tylko dwadzieścia jeden scen. Rozmyślałem kilka dni jak tę nudę rozruszać, jak całość zdynamiczować, jak sprawić, by niewielką ilość akcji ciekawie zmontować. Zastanawiałem się nad inną strategią montażową. Zrobiłem nawet przymiarkę do pomysłu opisanego wcześniej, by wybrać kilka scen kluczowych i przedzielić je seriami krótkich ujęć, szybko zmontowanymi z energiczną muzyką. Zrezygnowałem z tego pomysłu, bo oznaczał usunięcie tego, co w tym materiale było najciekawsze. Maja jest rezolutną, czteroletnią dziewczynką, pełną pogody ducha i kochającą mówić. Raz poważnie, często z humorem. Lubi śpiewać i komentować swoje codzienne widzenie świata. Ponieważ byłem jej stałym towarzyszem zabaw a do tego często z kamerą, jest w tym materiale sporo naszych rozmów. Traktuję ją jak równorzędnego partnera, nie ma więc w tych rozmowach żadnej protekcjonalności. Dyskutujemy o zbyt zimnej wodzie, by się można długo kąpać i o rychłej wizycie u znajomych mieszkających w pobliżu. Opowiadamy sobie także bajki. Oboje je znamy i choć niby je czytam, szybko się to zamienia we wspólne opowiadanie. Z montażowego punktu widzenia nie jest to seria migawkowych ujęć. Oczywiście można by to wszystko w ten właśnie sposób zmontować, to znaczy w ciąg szybkich migawek, ale wówczas mówienie przez Maję albo by zniknęło albo zostałoby powyrywane z kontekstu. Dlatego przystąpiłem do tego, co nazwałbym moim montażem

klasycznym, czyli scena po scenie, pamiętając przy tym, by eksponować jej mówienie, sposób wysławiania, poczucie humoru i tak dalej.

Pierwsza wersja skrótu liczyła trzydzieści siedem minut ze stu siedemdziesięciu minut materiału wyjściowego. W procentach był to skrót o 78%, czyli podobnie jak w filmie z lipca. Liczba wszystkich wersji od pierwszej do finalnej wyniosła trzynaście a więc tyle samo co w filmie lipcowym. Liczba scen nie zmieniła się (21), ale jest to skutek podzielenia kilku scen i rozmieszczenia ich w różnych miejscach filmu.

Sposoby wygładzania przejść między ujęciami, by się nie „gryzły” stosowałem takie same jak opisane w poprzednim tekście. Warto jednak powiedzieć o montowaniu bardzo długich ujęć, co było dla mnie czymś nowym. Na wakacjach z Mają, jej dłuższe zabawy z innymi dziećmi pojawiły się dopiero w przeddzień naszego wyjazdu. Rzuciłem się z kamerą na te scenki, aby nie był to film tylko o Mai i dziadziusiu. Prawie jedna czwarta całego materiału została nakręcona w czasie dwóch takich zabaw, w tym trzydzieści kilka minut w trakcie jednej. Trzy dziewczynki bawiły się wtedy lalkami Barbie, kąpały je w misce z wodą, czesały je i cały czas ze sobą rozmawiały. Kamera albo była ustawiona na statywie albo kręciłem się z nią wokół maluchów. Cały ten materiał to osiemnaście ujęć, w tym sześć najdłuższych trwa dwadzieścia pięć minut. A jedno aż dwanaście. Montaż tej sceny był trudny. Obraz statyczny, ruchu wewnątrz kadru tyle, co na lekarstwo. Były tam wyłącznie dialogi, powiedzonka, wykrzyknienia. Ale żadnych fajerwerków konwersacyjnych. Jedyny dynamiczny fragment to zawody między Mają a starszą o dwa lata Julcią, która z nich potrafi głośniej wrzasnąć. Wrzaski były rzeczywiście takie, że niepodobna było zostawić poziomu dźwięku na poziomie oryginalnym. Musiałem ściszać, bo można było od tego ogłuchnąć.

Ostatecznie podzieliłem cały ten materiał na dwie sceny. Pierwszą, zawody we wrzeszczeniu, przesunąłem do przodu, mniej więcej do połowy filmu. Trwa pięćdziesiąt trzy sekundy. Drugą, zabawy z lalkami, pozostawiłem na końcu i skróciłem z siedemnastu do jednej minuty. Nie dbałem o ciągłość narracji, bo nie była ciekawa. Pokazałem tylko kalejdoskop co ciekawszych powiedzonek Mai. Z siedemnastu minut materiału wyjściowego wyciąłem trzynaście krótkich ujęć. Pomysł na takie rozwiązanie sceny z lalkami przyszedł szybko, ale selekcja tych trzynastu ujęć, przycięcie każdego do zaledwie kilku sekund a następnie ich sklejenie w gładką całość zajęło mi kilka dobrych dni pracy. Montaż był trudny, bo do przejść międzyujęciowych nie mogłem użyć muzyki, jako że bohaterem sceny był głos Mai. Nie mogłem robić cięć na ruchu (patrz poprzedni tekst [link](#)), bo ruchu wewnątrzkadrowego było bardzo niewiele. Mieszałem więc ujęcia ze statywu z tymi kręconymi ręką, jeśli ujęcia w różnych planach gładko się sklejały. Używałem przebitek wyciętych z niewykorzystanych ujęć tej sceny, sfilmowanych w planie bliskim lub detalu. Wreszcie, choć z bólem, użyłem kilka razy uniwersalnego kleju, czyli efektu przenikania.

Ostateczny efekt jest lepszy niż mogłem się spodziewać po obejrzeniu materiału wyjściowego. Został jednak problem z długością filmu. Film jest niestety za długi. Trwa dwadzieścia minut, czyli o pięć za dużo. Będę musiał coś wymyślić w następnych filmach wakacyjnych...